

Platon, Obrona Sokratesa  
tłum. Władysław Witwicki

Ryszard Legutko, *Obrona Sokratesa*. Fragmenty wstępu.

Jeśli oceniać efekt mowy Sokratesa w świetle ostatecznego wyroku, to nie ma wątpliwości, iż jego mowa okazała się bezskuteczna. Fakt ten daje ważną wskazówkę dla interpretacji tekstu Platońskiego. Skłania do wniosku, iż wedle Apologii między filozofią a nawykami społecznymi istnieje trudny do pogodzenia konflikt. Sokrates nie chciał wchodzić w spory ustrojowe, ale jego działalność została odczytana jako zagrażająca Atenom, a więc tym samym antydemokratyczna. Trudno powiedzieć, czym dokładnie kierowali się ci, którzy głosowali za wyrokiem śmierci: być może istotnie mniemali, że Sokrates sprzyjał Kritiasowi i że inspirował oburzające akty bezbożności, a być może głosowali przeciw niemu, bo odczuwali intuicyjnie jego wrogość wobec rzeczy, do których byli przywiązani.

Sokrates był oczywiście antydemokratyczny - i tu poniekąd Ateńczycy mieli rację - jakkolwiek nie w tym znaczeniu, że pragnął zastąpić jeden ustrój innym. Jego działalność podważała rozpowszechnione przekonanie, iż obywatele w swojej większości reprezentują mądrość, i że w ten sposób istniejące w społeczeństwie kryteria ocen, normy, ideały, hierarchie wartości wyrażają coś więcej, niż przypadkowe preferencje grupy ludzi. Z tego samego powodu Sokratesa można określić jako antyoligarchicznego, bo poziom świadomości moralnej i wpływ refleksji na życie ludzkie nie były w oligarchii wcale wyższe. W demokracji te słabości ujawniają się w sposób bardziej dobitny, ponieważ ostrzejszy staje się konflikt między mniejszością a większością. Większość nie tylko posiada władzę, ale także wydaje się posiadać rację. Skoro założeniem demokracji jest egalitaryzm, a więc w tym również przekonanie o niezbyt wielkich różnicach między ludźmi w zakresie rozsądku, to wyłonienie się większości daje duże prawdopodobieństwo ukształtowania się przewagi także pod względem trafności sądu. Stąd w społeczeństwie demokratycznym - mimo nieustannych kłótni między różnymi stronnictwami - istnieje powszechniejsza tendencja do apodyktyczności wypowiedzanych opinii i do przypisania demosowi - niekoniecznie konkretnemu, lecz demosowi w ogóle - uprawnień w zakresie określania wartości. Pod pewnym względem demokracja daje lepszy wgląd w ujawnianie się pychy ludzkiej, niż ustroje hierarchiczne.

Uwagi, jakie Sokrates wypowiada w swojej mowie wskazują, iż z tych słabości społeczeństwa ateńskiego zdawał sobie sprawę, a jego zachowanie było reakcją na nie. Co jednak w takim razie reprezentuje filozofia i jak dalece zmienić może ona istniejący stan rzeczy? Sokratesa poglądy w tej kwestii nie są jednoznaczne, a z pewnością nie wyrażają naiwnego przekonania o filozofii jako narzędziu uszlachetniania demokracji. Lektura tekstu pozwala mniemać, iż Sokrates sam jeszcze dobrze nie wiedział, jaki jest sens jego działania oraz jakie skutki ma ono wywołać. Z jednej strony mamy tam bowiem obraz Ateńczyków tak negatywny, że wszelka zasadnicza działalność edukacyjna wydaje się być skazana na mierne rezultaty, a z drugiej, zauważamy niezwykle bezkompromisowość stanowiska Sokratesa w jego misji filozoficznej.

Sokrates nie miał więc ambicji reformatorskich, a jego filozofia nie była nastawiona na wyprowadzenie Aten z kryzysu moralnego. Nie był on nawet wychowawcą w ścisłym sensie tego słowa; dlatego nie przyjmował zarzutu o demoralizowaniu uczniów i - w domyśle - o swoim wpływie na Alkibiadesa, Kritiasa i innych. Podstawowym celem jego mowy procesowej było - jak się rzekło - wyjaśnienie sobie i innym znaczenia działalności filozoficznej, jaką uprawiał.

W istocie ważniejsze dla niego było przekazanie Ateńczykom, dlaczego z tej misji nie mógł on zrezygnować, niż jakie bezpośrednie korzyści płynęły z niej dla miasta. Filozofia - tak jak ją pojmował Sokrates, a więc refleksja

nad tym co dobre i sprawiedliwe po to, by życie swoje uczynić wartościowym - była bowiem nienegocjowalna w kategoriach politycznych. W tym tkwi jego podstawowe przesłanie i to jest największe odkrycie Sokratesa. Nie zależy ona ani od nastrojów w społeczeństwie, ani od przewagi fizycznej czy militarnej, ani od wyroków sądu, ani nawet - jak się okaże w innych dialogach - od woli bogów. Było to dla Sokratesa odkrycie tak niezwykle, że zmieniło całe jego życie. Wyobrażał sobie zapewne, że kto dobrze pojmie, iż źródła mądrości nie podlegają arbitralnej władzy człowieka, ten również musi swoje życie przewartościować.

Odkrycie to okazało się faktycznie przełomowe dla naszej kultury, zaś jego znaczenia nie należy mierzyć praktycznymi skutkami, a jeśli, to w długiej perspektywie czasowej. Trudno powiedzieć, jak wyglądałaby nasza historia, gdyby taki pogląd nie pojawił się w niej w pewnym momencie. Należy jednak sądzić, że nie byłaby to historia lepsza. Znaczenie odkrycia Sokratesa polegało na tym, iż na wiele wieków zmieniło ono nasz sposób myślenia. Refleksja filozoficzna uzyskała status niezależności od wszelkich subiektywnych i społecznych uwarunkowań. Stała się narzędziem, za pomocą którego mogliśmy oceniać siebie i innych, prowadząc spory co sensu moralnego naszych działań. Siła polityczna i nacisk grupy wielokrotnie okazywały się skuteczne, ale od czasu Sokratesa już nigdy nie można było całkowicie usunąć z naszej świadomości przekonania, że owa skuteczność nie musi pozostawać w żadnym związku ze słusnością, dobrem i sprawiedliwością.

Ale odkrycie Sokratesa zawierało coś jeszcze. Filozofia nie była tylko procesem intelektualnym, który pozwalał formułować moralne prawdy. Okazało się, że w wyniku tego procesu człowiek odkrywał w sobie także skłonność do podporządkowania się nim i do pokierowania własnym życiem zgodnie z nimi. Ta władza czy siła duchowa, którą Sokrates nazywał duszą, nie była więc jedynie sprawnością intelektualną, ale tak naprawdę stanowiła to, co było istotą człowieka, czyli jego moralną podmiotowość. Tak jak opinie, zwykle bezrefleksyjne, głoszone przez ludzi w ich sporach politycznych i prywatnych, były ledwie powierzchownym i często mocno niedoskonałym dotknięciem prawdy, tak nasze doznania i doświadczenia, do których zwykliśmy przywiązywać znaczenie, dotyczyły przeważnie powierzchownej strony natury ludzkiej. Dzięki trudowi filozoficznemu mogliśmy, według Sokratesa, zobaczyć siebie inaczej: nie w swoich rolach społecznych, nie w przebraniu, jakie dawała nam nasza pozycja czy reputacja, nie w stanie zadowolenia wywołanym przyjemnościami i sukcesami. Mogliśmy zobaczyć siebie takimi, jacy jesteśmy niezależnie od tych wszystkich przebrań. A gdy już ktoś osiągnął taką zdolność patrzenia na siebie, to musiał, zdaniem Sokratesa, dojść do nieodpartego wniosku, iż owa ocena jest jedyną, jaka się naprawdę liczy i że całe swoje życie powinien pokierować w ten sposób, by wypadła ona jak najlepiej. O tym właśnie mówił Sokrates Ateńczykom przed sądem i to jego przesłanie przekazał Platon dalszym pokoleniom.

Jakieście wy, obywatele, odebrali wrażenie od moich oskarżycieli, tego nie wiem; bo i ja sam przy nich omalżem się nie zapomniał, tak przekonująco mówili. Chociaż znowu prawdziwego, powiem po prostu, nic nie powiedzieli. A najwięcej mnie u nich jedno zadziwiło z tych wielu kłamstw; jak to mówili, że wyście się powinni strzec, abym ja was nie oszukał, bo doskonale umiem mówić. To, że się nie wstydzieli (ja zaraz czynem obalę ich twierdzenia, kiedy się pokaże, że ja ani trochę mówić nie umiem), to mi się wydało u nich największą bezczelnością. Chyba że oni może tęgim mówcą nazywają tego, co prawdę mówi. Bo jeżeli tak mówią, to ja bym się zgodził, że tylko nie według nich, jestem mówcą.

Więc oni, jak ja mówię, bodajże i słowa prawdy nie powiedzieli; wy dopiero ode mnie usłyszycie całą prawdę.

Tylko serio, na Zeusa, obywatele: nie takie mowy przystrojone jak te ich: zwrotami i wyrazami, ani ozdobione, ale usłyszycie proste słowa, wyrazy takie, jakie się nawiną.

Bo ja wierzę, że to sprawiedliwe, co mówię, i niech się nikt z was czegoś innego nie spodziewa.

Przecieżby nawet nie wypadalo, obywatele, żebym ja, w tym wieku, jak młodziak mówki układać przed was przychodził. Ale naprawdę ja bardzo was, obywatele, o to proszę i błagam: jeżeli usłyszycie, że ja się bronię takimi samymi słowami, jakimi zwykle mówię i na rynku koło straganów, gdzie mnie niejeden z was słyszał, i gdzie bądź indziej, nie dziwcie się i nie róbcie hałasów dlatego. Bo to tak jest: teraz ja pierwszy raz stoję przed sądem, a lat mam siedemdziesiąt; po prostu więc obcy mi jest tutejszy język. Więc tak samo jak gdybym naprawdę był z innych stron, to wybaczylibyście mi przecież, gdybym tamtym językiem i sposobem mówił, w jakim bym był wyrósł, otóż tak samo i teraz o tę was proszę sprawiedliwość, tak się to przynajmniej mnie przedstawia, żebyście mi darowali sposób mówienia - on tam będzie może gorszy, może lepszy - a na to tylko patrzyli i na to tylko zważali, czyja słusznie mówię, czy nie; bo to jest zaleta sędziego, a mówcy: mówić prawdę.

Więc naprzód moje prawo bronić się, obywatele, przeciw pierwszej fałszywej skardze na mnie i przeciw pierwszym oskarżycielom; potem przeciwko drugiej i drugim.

Bo na mnie wielu skarżyło przed wami od dawna, i już od lat całych, a prawdy nic nie mówili; tych ja się boję więcej niż tych koło Anytosa, chociaż i to ludzie straszni.

Ale tamci straszniejsi. Obywatele, oni niejednego z was już jako chłopaka brali do siebie, wmawiali w was i skarżyli na mnie, że jest taki jeden Sokrates, człowiek mądry, i na gwiazdach się rozumie, i co pod ziemią, to on wszystko wybadał, i ze słabszego zdania robi mocniejsze. Obywatele, to oni, to ci, co o mnie takie pogłoski porozsiewali, to są moi straszni

oskarżyciele. Bo kto słyszy, ten myśli, że tacy badacze to nawet w bogów nie wierzą. A potem jest takich oskarżycieli wielu i już długi czas skarżą, a prócz tego jeszcze w takim wieku do was mówią, w którymście uwierzyć mogli najłatwiej, dziećmi będąc, a niejeden z was wreszcie młodym chłopcem; po prostu taka zaoczna skarga, bez żadnej obrony.

A ze wszystkiego najgłupsze to, że nawet nazwisk ich nie można znać ani ich wymienić.

Chyba że przypadkiem który jest komediopisarzem.

Jedni z zazdrości potwarzy w uszy wam nakładli, drudzy uwierzyli i z przekonania zrażają do mnie innych, a ze wszystkimi nieporadna godzina. Bo ani ich tutaj przed sąd nie można pociągnąć, ani rozumnie przekonać żadnego, tylko po prostu tak człowiek musi niby z cieniami walczyć; broni się i zbija zarzuty, a nikt nie odpowiada.

Więc chcecie zważyć i wy, jak powiadam, że ja mam dwa rodzaje oskarżycieli: jedni to ci, co wygłosili skargę dopiero co, a drudzy dawniej, ci, o których mówię; i przyznajcie, że ja się przeciwko tamtym muszę naprzód obronić. Przecież i wyście tamtych naprzód słuchali, jak skarżą, i o wiele więcej niż tych, co później.

No tak, więc trzeba się bronić, obywatele, i trzeba próbować wyjąć wam z uszu potwarz, która tam długi czas siedziała, a wyjąć w tak krótkim czasie! No, ja bym tam rad, żeby się to tak stało, jeśli to dobre dla was i dla mnie, i jeżeli się moja obrona na cokolwiek przyda. Ale myślę, że to trudna rzecz; ja trochę wiem, jak to jest.

A jednak, niech tak rzeczy idą, jak bóg zechce; prawa potrzeba słuchać i bronić się.

Więc weźmy jeszcze raz od początku, cóż to za skarga, z której na mnie potwarz wyrosła, a Meletos jej uwierzył i wniósł na mnie to oskarżenie tutaj? Tak jest. Cóż tedy mawiali potwarzy? Jakby więc prawdziwe oskarżenie trzeba ich zaprzysiężone słowa odczytać: Sokrates popełnia zbrodnie i dopuszcza się występku badając rzeczy ukryte pod ziemią i w niebie i ze słabszego zdania robiąc mocniejsze i drugich tego samego nauczając.

To coś będzie w tym rodzaju. Boście przecież i sami coś takiego widzieli w komedii Arystofanesa, jak się tam taki Sokrates huśta, a mówi, że chodzi po powietrzu i mnóstwo innych głupstw wygaduje, na których ja się nic a nic, ani w ogólności, ani w szczególności nie rozumiem. I nie mówię tego, żebym chciał uwłaczać tego rodzaju wiedzy, jeżeli ktoś jest mądry w takich rzeczach (żeby mnie tylko znowu o to Meletos do sądu nie pozwał), ale mnie te kwestie, obywatele, nic a nic nie obchodzą. Na świadków biorę wielu z was samych i myślę, że jeden drugiemu to wytłumaczy i powie: każdy z tych, którzy kiedykolwiek słyszeli, jak rozmawiam! A takich wielu między wami. Więc powiedzcie jeden drugiemu, czy kiedykolwiek słyszał który z was, żebym ja w ogólności lub w szczegółach rozmawiał o takich rzeczach? Widzicie więc, że tyle samo warte i wszystko inne, co o mnie tłum opowiada.

Więc ani na tym nic nie ma, ani jeślibyście słyszeli od kogoś, że ja biorę ludzi na wychowanie i robię na tym pieniądze, to także nieprawda.

Chociaż mnie się i to bardzo podoba, jeżeliby ktoś umiał ludzi wychowywać, jak na przykład Gorgiasz z Leontiniów i Prodikos z Keos, i Hippiasz z Elidy.

Obywatele, każdy z nich potrafi chodzić od miasta do miasta i namawiać młodych ludzi, którzy mogą za darmo przestawać, z kim tylko chcą ze swych współobywateli, żeby porzucili tamto towarzystwo, a obcowali z nimi; za to im się płaci pieniędzmi, a oprócz tego wdzięcznością.

A tu jest jeszcze inny taki obywatel z Paros, mędrzec; dowiedziałem się niedawno, że przyjechał, bom przypadkiem spotkał jednego obywatela, który zapłacił sofistom więcej pieniędzy niż wszyscy inni razem, Kalliasza syna Hipponika. Więc ja go zapytałem - bo on ma dwóch synów. „Kalliaszu - powiadam - jakbyś d się tak twoi dwaj synowie żrebakami albo cielętami porodzili, to my byśmy umieli wyszukać im kierownika i zgodzić go, żeby z nich zrobił piękne i dobre sztuki we właściwym im rodzaju zalet. I to by był albo jakiś człowiek od koni, albo od roli. No teraz, skoro są ludźmi, to kogo im zamyślasz wziąć na kierownika? Kto się tak rozumie na zaletach człowieka i obywatela? Myślę przecież, żeś ty się nad tym zastanowił, bo masz synów. Jest ktoś taki - mówię mu - czy nie?"

„Ano pewnie” - powiada.

„Któż taki - mówię - i skąd on, i po czemu uczy?"

„Euenos - powiada - Sokratesie, ten z Paros, po pięć min”.

A ja sobie pomyślałem: szczęśliwy ten Euenos, jeżeli on naprawdę posiada tę sztukę i tak ładnie uczy! Ja bym się i sam chwalił i wysoko nosił, gdybym to umiał. Ale ja tego nie umiem, obywatele!

Więc może mi ktoś z was wpadnie w słowo i zapyta: „Sokratesie, a twoja robota jaka właściwie? Skądże się wzięły te potwarze na ciebie? Już też z pewnością, gdybyś się nie był, niby to, bawił w żadne nadzwyczajności, a żył jak każdy inny, nie byliby cię ludzie tak osławili ani obgadali, skoro twoje zajęcia niczym nie odbijały od wszystkich innych ludzi. Więc powiedz nam, co jest, żebyśmy i my w twojej sprawie nie strzelili jakiegoś głupstwa”. Kto tak mówi, ten mówi sprawiedliwie, jak uważam, i ja wam spróbuję wykazać, co tam jest takiego, co mi wyrobiło takie imię i taką potwarz.

A słuchajcie.

Może się będzie komu z was zdawało, że żartuję; tymczasem bądźcie przekonani; całą wam prawdę powiem. Bo ja, obywatele, przez nic innego, tylko przez pewnego rodzaju mądrość takie imię zyskałem. A cóż tam za mądrość taka? Taka może jest i cała ludzka mądrość!

Doprawdy, że tą i ja, zdaje się, jestem mądry. A ci, o których przed chwilą mówiłem, ci muszą pewnie być jakąś większą mądrością, ponad ludzką miarę mądrzy, albo - nie wiem sam, co powiedzieć. Ja przynajmniej zgoła się na tej wyższej nie znam, a kto to na mnie mówi, ten kłamie i tylko na to wychodzi, żeby oszczerstwo na mnie rzucił.

A tylko, obywatele, nie krzyczcie na mnie, nawet gdyby się wam zdawało, że wielkich słów używam. Bo nie będę swoich słów przytaczał w tym, co powiem, ale się powołam na kogoś innego, kto to powiedział. Przytoczę wam świadka mojej mądrości, jeżeli jaka jest i jaka: boga w Delfach.

Znacie pewnie Chajrefonta. To mój znajomy bliski od dziecięcych lat i mnóstwo z was, z ludu, dobrze go znało. On wtedy razem poszedł na to wygnanie i wrócił razem z wami. I dobrze wiecie, jaki był Chajrefon; jaki gorączka, do czego się tylko wziął. I tak raz nawet, jak do Delfów przyszedł, odważył się o to pytać wyroczni i, jak powiadam - nie róbcie hałasu, obywatele! - zapytał tedy wprost, czyby istniał ktoś mądrzejszy ode mnie. No i Pytia odpowiedziała, że nikt nie jest mądrzejszy. I to wam ten tutaj brat jego poświadczy, bo tamten już umarł.

Zważcie tedy, dlaczego to mówię, chcę wam pokazać, skąd się wzięła potwarz. Bo ja, kiedym to usłyszał, zacząłem sobie w duchu myśleć tak: Co też to bóg mówi? Cóż ma znaczyć ta zagadka? Bo ja, doprawdy, ani się do wielkiej, ani do małej mądrości nie poczuwam. Więc cóż on właściwie mówi, kiedy powiada, że ja najmądrzejszy? Przecież chyba nie kłamie. To mu się nie godzi. I długi czas nie wiedziałem, co to miało znaczyć, a potem powoli, powoli zacząłem tego dochodzić tak mniej więcej:

Poszedłem do kogoś z tych, którzy uchodzą za mądrych, aby jeśli gdzie, to tam przekonać wyrocznię, że się myli, i wykazać jej, że ten oto tu jest mądrzejszy ode mnie, a tyś powiedziała, że ja.

Więc kiedy się tak w nim rozglądam - nazwiska wymieniać nie mam potrzeby: to był ktoś spośród polityków, który na mnie takie jakies z bliska zrobił wrażenie, obywatele - otóż kiedym tak z nim rozmawiał, zaczęło mi się zdawać, że ten obywatel wydaje się mądrym wielu innym ludziom, a najwięcej sobie samemu, a jest? Nie! A potem próbowałem mu wykazać, że się tylko uważa za mądrego, a nie jest nim naprawdę. No i stąd mnie znienawidził i on, i wielu z tych, co przy tym byli.

Wróciwszy do domu zacząłem miarkować, że od tego człowieka jednak jestem mądrzejszy. Bo z nas dwóch żaden, zdaje się, nie wie o tym, co piękne i dobre, ale jemu się zdaje, że coś wie, choć nic nie wie, a ja, jak nic nie wiem, tak mi się nawet i nie zdaje. Więc może o tę właśnie odrobinę jestem od niego mądrzejszy, że jak czego nie wiem, to i nie myślę, że wiem. Stamtąd poszedłem do innego, który się wydawał mądrzejszy niż tamten, i znowu takie samo odniosłem wrażenie. Tu znowu mnie ten ktoś znienawidził i wielu innych ludzi.

Więc potem tom już po kolei dalej chodził, choć wiedziałem, i bardzo mnie to martwiło i niepokoiło, że mnie zaczynają nienawidzić, a jednak mi się koniecznym wydawało to, co bóg powiedział, stawiać nade wszystko.

Trzeba było iść dalej, dojść, co ma znaczyć wyrocznia, iść do wszystkich, którzy wyglądali na

to, że coś wiedzą. I dalipies, obywatele - bo przed wami potrzeba prawdę mówić - ja, do-prawdy, odniosłem takie jakieś wrażenie: ci, którzy mieli najlepszą opinię, wydali mi się bo-dajże największymi nędzarami, kiedy tak za wolą boską robił poszukiwania, a inni, lichsi z pozoru, byli znacznie przyzwoitsi, naprawdę, co do porządku w głowie.

Muszę wam jednak moją wędrówkę opisać; jakim ja trudy podejmowałem, aby w końcu przyznać słusność wyroczni.

Otóż po rozmowach z politykami poszedłem do poetów, tych, co tragedię piszą i dytyramby, i do innych, żeby się tam na miejscu niezbitnie przekonać, że jestem głębszy od nich.

Brałem tedy do ręki ich poematy, zdawało się, najbardziej opracowane i, bywało, rozpyty-wałem ich o to, co chcą właściwie powiedzieć, aby się przy tej sposobności też i czegoś od nich nauczyć. Wstydzę się wam prawdę powiedzieć, obywatele, a jednak powiedzieć potrzeba. Więc krótko mówiąc: nieledwie wszyscy inni, z boku stojący, umieli lepiej niż sami poeci mówić o ich własnej robocie.

Więc i o poetach się przekonałem niedługo, że to, co oni robią, to nie z mądrości płynie, tylko z jakiejś przyrodzonej zdolności, z tego, że w nich bóg wstępuje, jak w wieszczków i wróżbitów; ci także mówią wiele pięknych rzeczy, tylko nic z tego nie wiedzą, co mówią. Zdaje mi się, że coś takiego dzieje się i z poetami. A równocześnie zauważyłem, że oni przez tę poezję uważają się za najmądrzejszych ludzi i pod innymi względami, a wcale takimi nie są. Więc i od nich odszedłem, uważając, że tym samym ich przewyższam, czym i polityków.

W końcu zwróciłem się do rzemieślników. Bo sam zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że nic nie wiem, a u tych wiedziałem, że znajdę wiedzę o różnych pięknych rzeczach. I nie pomyliłem się. Ci wiedzieli rzeczy, których ja nie wiedziałem, i tym byli mądrzejsi ode mnie. Ale znowu, obywatele, wydało mi się, że dobrzy rzemieślnicy popełniają ten sam grzech co i poeci. Dlatego że swoją sztukę dobrze wykonywał, myślał każdy, że jest bardzo mądry we wszystkim innym, nawet w największych rzeczach, i ta ich wada rzucała cień na ich mądrość. Tak że zacząłem sam siebie pytać zamiast wyroczni, co bym wołał: czy zostać tak, jak jestem, i obejść się bez ich mądrości, ale i bez tej ich głupoty, czy mieć jedno i drugie, jak oni. Odpowiedziałem i sobie, i wyroczni, że mi się lepiej opłaci zostać tak, jak jestem.

Z tych tedy dochodzeń i badań, obywatele, liczne się porobiły nieprzyjaźnie, i to straszne, i bardzo ciężkie, tak że stąd i i potwarze poszły, i to imię stąd, że to mówią: mądry jest. Bo zawsze ci, co z boku stoją, myślą, że ja sam jestem mądry w tym, w czym mi się kogo trafi położyć w dyskusji.

A to naprawdę podobno bóg jest mądry i w tej wyroczni to chyba mówi, że ludzka mądrość mało co jest warta albo nic. I zdaje się, że mu nie o Sokratesa chodzi, a tylko użył mego imienia, dając mnie na przykład, jakby mówił, że ten z was, ludzie, jest mądrzejszy, który, jak Sokrates, poznał, że nic nie jest naprawdę wart, tam gdzie chodzi o mądrość.

Ja jeszcze i dziś chodzę i szukam tego, i myszkuję, jak bóg nakazuje, i między mieszczanami naszymi, i między obcymi, jeżeli mi się który mądry wydaje, a jak mi się który mądry wydaje, to zaraz bogu pomagam i dowodzę takiemu, że nie jest mądry. I to mi tyle czasu zabiera, że ani nie miałem kiedy w życiu obywatelskim zrobić czegoś, o czym by warto było mówić, ani koło własnych interesów chodzić; ostatnią biedę klepię przez tę służbę bożą.

A oprócz tego chodzą za mną młodzi ludzie, którzy najwięcej mają wolnego czasu, synowie co najbogatszych obywateli; nikt im chodzić nie każe, ale oni lubią słuchać, jak się to ludzi bada, a nieraz mnie naśladowują na własną rękę i próbują takich badań na innych.

Pewnie - znajdują mnóstwo takich, którym się zdaje, że coś wiedzą, a wiedzą mało albo wcale nic. Więc stąd ci, których oni na spytki biorą, gniewają się na mnie, a nie na nich: mówią, że to ostatni łajdak ten jakiś Sokrates i psuje młodzież. A jak ich ktoś pyta, co on robi i czego on naucza, nie umieją nic powiedzieć, nie wiedzą; żeby zaś pokryć zakłopotanie, mówią to, co się na każdego miłośnika wiedzy zaraz mówi: że tajemnice nieba odsłania i ziemi a bogów nie szanuje, a z gorszego zdania robi lepsze.

Bo prawdy żaden by chyba nie powiedział: że się ich niewiedzę odsłania i udawanie mądrości. A że im widać na poważaniu zależy, a zaciekli są i dużo ich jest, a systematycznie i przekonująco na mnie wygadują, więc macie pełne uszy ich potwarzy, rzucanych na mnie od dawna a zajadle. Spośród nich też wyszli na mnie Meletos, Anytos i Likon. Meletos się obraził za poetów, Anytos za rzemieślników i polityków, a Likon za mówców.

Tak że jakem na początku mówił, ja bym się sam dziwił, gdyby mi się w tak krótkim czasie udało wyjąć wam z uszu te liczne a zastarzałe oszczerstwa.

Oto jest, obywatele, cała prawda; nie ukryłem przed wami ani wielkich, ani małych okoliczności; nie pokrywałem niczego milczeniem. Chociaż wiem, że to samo znowu nienawiść przeciw mnie rozbudza. To właśnie świadczy, że mówię prawdę, że taka jest potwarz na mnie i takie są jej przyczyny. I czy teraz, czy później kiedyś zechcecie się tym zająć, zawsze to samo znajdziecie.

Więc na to, o co mnie pierwsi oskarżyciele moi oskarżyli, niech mi to przed wami za obronę starczy. A Meletesowi zacnemu i pełnemu troski o los państwa, jak mówi, i tym późniejszym zaraz spróbuję odpowiedzieć.

A że to już są inni oskarżyciele, więc weźmy znowu ich skargę pod uwagę. Ona taka jest mniej więcej: Sokrates, powiadają, zbrodnię popełnia, albowiem psuje młodzież, nie uznaje bogów, których państwo uznaje, ale inne duchy nowe. Taka jest skarga. Przejdźmy ją punkt za punktem. Więc powiada, że jestem zbrodniarzem, bo psuję młodzież. A ja, obywatele, powiadam, że to Meletos jest zbrodniarzem, bo sobie drwi z poważną miną, lekkomyślnie ludzi do sądu ciągnie i udaje, że mu serio idzie o rzeczy, na których mu nigdy nie zależało. Że to tak jest, spróbuję i wam wykazać.



Chodź no tu, Meletosie, powiedz no mi: - Nieprawdaż, tobie najwięcej zależy na tym, żeby młodzież była jak najlepsza?

Tak jest.

No to proszę cię teraz, powiedz tym obywatelom, kto to młodzież naprawia? Jasna rzecz, że ty wiesz; przecież tobie na tym zależy. Bo tego, co psuje, znalazłeś, jak powiadasz, we mnie, zaciągnąłeś mnie przed tych tu obywateli i wnosisz oskarżenie. Więc i tego, co naprawia, nazwij i donieś sądowi, kto to jest. Widzisz, Meletosie, że milczysz i nie masz co odpowiedzieć? A nie uważasz, że to wstyd i najlepsze świadectwo tego, co przecież ja mówię, że ci nic na tym nie zależało? No, powiedz, kochanie, któż ich naprawia?

Prawa!

Ależ, mój drogi, ja się nie o to pytam, tylko: co za człowiek, który przede wszystkim i to zna: prawa.

Ci oto, Sokratesie, sędziowie!

Tak mówisz, Meletosie? Ci tutaj umieją młodych ludzi wychowywać i naprawiają ich?

Oczywiście!

Wszyscy, czy tylko jedni z nich, a drudzy nie?

Wszyscy.

Dobrze mówisz, na Herę, i coś bardzo dużo tych pożytecznych obywateli. No, ale jakżeż to? A ci tu słuchacze naprawiają, czy nie?

I ci także.

A cóż członkowie Wielkiej Rady?

I członkowie Rady.

Ależ, Meletosie, a ci z Walnego Zgromadzenia, ci nie psują młodych ludzi? Oni także naprawiają ich wszyscy?

Oni także.

No to chyba wszyscy Ateńczycy doskonałą młodzież, tylko ja nie; ja tylko jeden psuję.

Tak mówisz?

Bardzo stanowczo tak mówię.

Ja jestem, doprawdy, okropny nędznik w twoich oczach. Ale odpowiedz mi. Czy uważasz, że i z końmi rzecz się ma tak samo? Naprawiają konie wszyscy ludzie, a tylko jeden jakiś psuje? Czyż też wprost przeciwnie: jeden ktoś potrafi je naprawiać albo bardzo nieliczni ludzie: ujeżdzacze; a ci liczni, jak zaczną się z końmi obchodzić i używać ich, psują. Czy nie tak się rzeczy mają, Meletosie, i z końmi, i z innymi wszystkimi istotami żywymi? Doprawdy, że tak; wszystko jedno, czy się ty i Anytos na to zgodzicie, czy nie. To wystarczy, Meletosie; dowiodłeś, żeś się nigdy nie interesował młodzieżą; jasno widać twoje niedbalstwo; nie dbasz zgoła o to, o co mnie do odpowiedzialności pociągasz?

A jeszcze nam powiedz, Mel etosie, czy lepiej jest mieszkać wśród obywateli dzielnych, czy w społeczeństwie złych ludzi? Odpowiadaj, przyjacielu! Ja cię przecież o nic trudnego nie pytam. Nieprawdaż, że źli ludzie zawsze coś złego robią tym, co z nimi najbliższej obcuja, a dobrzy coś dobrego?

No pewnie.

A czy istnieje taki człowiek, który by wolał od bliźnich doznawać czegoś złego raczej niż dobrego? Panie dobry, odpowiadaj! Przecież prawo nakazuje odpowiadać. Czy istnieje człowiek, który chce doznawać złego?

Naturalnie, że nie.

A proszę cię, ty mnie tutaj przed sąd ciągniesz za to, że psuję młodzież i wyrabiam złych ludzi umyślnie czy nieumyślnie?

A pewnie, że umyślnie.

Jak to, Mel etosie? O tyleś ode mnie, starego, mądrzejszy, ty taki młodzik, żeś zrozumiał, jako iż źli ludzie źle robią swemu najbliższemu otoczeniu, a dobrzy dobrze. A ja bym miał aż tak zgłupieć, żebym i tego nawet nie pojmował, że jeśli kogoś w swym otoczeniu złym człowiekiem zrobię, mogę potem sam czegoś doznać złego z jego strony, i takie straszne zło po pełniam umyślnie, jak mówisz ty? W to ja ci nie uwierzę, Meletosie, a myślę, że i nikt inny. Więc albo nie psuję - albo psuję nieumyślnie, zaczem ty w obu wypadkach kłamiesz. A jeśli psuję nieumyślnie, to za takie, i to nieumyślne zbrodnie nie wolno ludzi tutaj do sądu ciągać, ale się samemu do tego wziąć; nauczać i kierować. Jasna rzecz, że jak się nauczę, to przestane to robić, co nieumyślnie popełniam. A tyś obcowania ze mną unikał i uczyć mnie nie chciałeś, tylkoś mnie tu przed sądem postawił, gdzie wolno stawiać ludzi, którym kary potrzeba, a nie nauki.

Więc, obywatele, to już jest jasna rzecz, com mówił, że się troskliwe serce Meletosa o te rzeczy nigdy ani w ogólności, ani w szczególności nie troszczyło.

Mimo to powiedz nam, Meletosie, jak ty mówisz, że ja psuję młodych. Oczywiście, wedle skargi, którąś wniósł na piśmie, to uczę ich nie wierzyć w bogów, w których państwo wierzy, tylko w inne duchy nowe. Czyż nie taka, powiadasz, jest treść mojej nauki gorszącej?

Otóż bardzo stanowczo to stwierdzam.

Ależ na bogów, na tych samych, o których teraz mowa, Meletosie, powiedzże jeszcze jaśniej i mnie, i tym obywatelom tutaj. Bo ja nie mogę wyrozumieć, czy twoim zdaniem ja uczę wierzyć, że są jacyś bogowie, i sam przecież w bogów wierzę, a nie jestem kompletnym ateistą i nie w tym moja zbrodnia, chociaż nie w tych, których państwo uznaje, ale w innych, i o to mnie właśnie oskarżasz, że w innych; czy też, twoim zdaniem, ja w ogóle w bogów nie wierzę i drugich tego nauczam?

To mówię, że ty w ogóle w bogów nie wierzysz.

Przedziwny Meletosie! Na co ty takie rzeczy mówisz? Więc ani Heliosa, ani Seleny za bogów nie uważam, tak jak inni ludzie?

Na Zeusa, sędziowie, tak. Bo on mówi, że słońce to kamień, a księżyc to ziemia.

Kochany Meletosie! Tobie się zdaje, że ty Anaksagorasa skarżysz? Za kogo ty masz tych obywateli? Myślisz, że oni książek nie czytają, nie wiedzą, że to w pismach Anaksagorasa z Klazomenów pełno takich zdań. I tak naprawdę i młodzi ludzie ode mnie się dopiero uczą takich rzeczy, które można nieraz, jeśli drogo, to za całą drachmę w teatrze kupić i śmiać się z Sokratesa, gdyby udawał, że to jego pomysły - inna rzecz, że i tak głupie.

Nie, na Zeusa, to ja, twoim zdaniem, tak ani w jednego boga nie wierzę. -Nie, na Zeusa, ani troszeczkę!

- Tyś bardzo niewierny człowiek, Meletosie, i to nawet, mnie się zdaje, ty samemu sobie nie wierzysz. Bo mnie się tak wydaje, obywatele, że on sobie pozwala i używa sobie - a tę skargę napisał po prostu z buty jakiejś, z rozpusty i młodzieńczego humoru. Tak wygląda, jakby zagadki układał i próbował: czy się też pozna Sokrates, ten mądry, że ja sobie figle stroję i sprzeciwiam się sobie samemu, czy też wywiodę w pole i jego, i innych słuchaczy? Bo mnie się wydaje, że on sam sobie zaprzecza w skardze; tak jakby mówił: popełnia zbrodnię Sokrates w bogów nie wierząc, ale w bogów wierząc. A przecież to są figle.

Doprawdy, rozpatrzcie ze mną, obywatele, jak on to, moim zdaniem, mówi: a ty nam odpowiadaj, Meletosie. A wy, ja was już o to prosiłem na samym początku, pamiętajcie nie podnosić na mnie hałasu, jeżeli ja tak swoim starym zwyczajem będę prowadził rozmowę. Meletosie, czy istnieje taki człowiek, który wierzy w istnienie spraw ludzkich, a w istnienie ludzi nie wierzy? Obywatele, niech on odpowiada, zamiast co chwila wrzaskami swoje niezadowolenie objawiać! Czy jest ktoś, kto w istnienie koni nic wierzy, a tylko w roboty końskie? Albo w istnienie flecistów nie wierzy, a tylko pracę flecistów uznaje? Nie ma takiego, zacności moja. Jeżeli ty nie chcesz odpowiadać, to ja ci to sam powiadam i wszystkim innym tutaj. Ale na drugie mi odpowiedz: czy jest taki, co wierzy w sprawy duchów, a w duchy same nie wierzy?

Nic ma takiego.

Ach, jakżeś łaskaw, żeś przecież raczył odpowiedzieć, kiedy cię sędziowie zmusili. Nie prawdaż, ty mówisz, że ja duchy uznaję i nauczam o nich; inna rzecz: nowe czy stare. Zatem duchy uznaję, wedle twoich słów; tyś to nawet zaprzysiął na piśmie w oskarżeniu. Zatem jeśli ja w sprawy duchów wierzę, to z konieczności muszę tym samym i w duchy wierzyć.

Czyż nie tak? Naturalnie, że tak. Bo ja zakładam, że ty się zgadzasz, skoro nie odpowiadasz.

A duchy czyż nie uchodzą u nas albo za bogów, albo za potomstwo bogów?

Naturalnie.

No więc? Jeżeli zatem, jak powiadasz, wierzę w duchy, a duchy są jakimiś bogami, to

byłoby tak, jak ja mówię, że ty zagadki układasz i figle stroisz, mówiąc raz, że ja w bogów nie wierzę, a potem znowu, że w bogów wierzę, skoro wierzę w duchy.

A jeśli znowu duchy to potomstwo bogów gdzieś tam z boku, z nimi czy z jakichś tam innych, jak to opowiadają, to któryż człowiek mógłby wierzyć w istnienie dzieci bożych, a w bogów samych nie? Toż to by było podobne głupstwo, jak gdyby ktoś przyjmował istnienie potomków koni i osłów, a mianowicie muły, a w istnienie samych koni i osłów nie wierzył. Ależ, Meletosie, to nie może być inaczej, tyłkoś ty tę skargę napisał tak na próbę dla nas, albo też nie wiedziałeś naprawdę, o jaki by mnie można właściwie występki oskarżyć. Ale żebyś ty kogoś przekonał, co ma choć odrobinę oleju w głowie, że jeden i ten sam człowiek potrafi w dzieła duchów i bogów wierzyć i znowu ten sam nie wierzy ani w duchy, ani w bogów, ani w bohaterów, to się w żaden sposób nie da zrobić.

Zatem, obywatele, że ja nie popełniam zbrodni, takiej wedle skargi Meletosa, na to, zdaje się, nie potrzeba długiej obrony; wystarczy już i to.

Ale to, com już i przedtem mówił, że wielka przeciwko mnie nienawiść istnieje, i to z wielu stron, to bądźcie przekonani, że jest święta prawda. I to jest to, co mnie zgubi; ani Meletos, ani Anytos, ale potwarz ze strony wielu i zawiść. One już i wielu innych i dzielnych ludzi zgubiły, a myślę, że i gubić będą. Zgoła nie ma obawy, żeby to na mnie stanęło.

Więc gotów może ktoś powiedzieć: dobrze, a czy ty się nie wstydzisz, Sokratesie, żeś się taką robotą bawił, za którąś dzisiaj gotów umrzeć?

A ja bym takiemu sprawiedliwe słowo odpowiedział, że ty nieładnie mówisz, człowiecze, jeżeli, twoim zdaniem, z góry widoki życia lub śmierci obliczać powinien człowiek, z którego jest choćby jaki taki pożytek, a nie na to tylko patrzeć, kiedy działa, czy postępuje słusznie, czy niesłusznie i czy robi tak jak człowiek dzielny, czy jak lichy. Toż lichymi figurami byłiby wedle twojego zdania i półbogowie, którzy padli pod Troją, a między innymi i syn Tetydy, który tak dalece gardził niebezpieczeństwem, byle hańby po sobie nie przenieść, że gdy chciał zabić Hektora i matkę, że to bogini, powiada mu o tak jakoś, zdaje mi się: Synu, jeśli pomścisz śmierć przyjaciela, Patrokla, i zabijesz Hektora, to sam zginiesz! Zaraz cię bowiem, powiada, po śmierci Hektora skon czeka - on to usłyszał, ale tak mało dbał o śmierć i niebezpieczeństwo, a znacznie więcej się obawiał żyć i być lichym człowiekiem, i przyjaciela nie pomścić, że i zaraz powiada, niech zginę, jak tylko złoczyńcę ukarzę, byłem się tutaj bezczynnie ludziom na śmiech nie włościł koło okrętów garbatych i ziemi nie deptał daremnie. Myślisz, że on dbał o śmierć i o niebezpieczeństwo? Tak jest, obywatele, naprawdę. Gdzie człowiek raz stanie do szeregu, bo to uważał za najlepsze, albo gdzie go zwierzchnik postawi, tam trzeba, sądzę, trwać mimo niebezpieczeństwa; zgoła nie biorąc w rachubę ani śmierci, ani niczego innego oprócz hańby.

Więc ja bym strasznie postąpił, obywatele, gdybym wtedy na rozkaz wodzów, którychże-ście

wy obrali i postawili nade mną pod Potidają, pod Amfipolis i pod Delion, trwał tam, gdzie mi oni kazali, tak samo jak i każdy inny i narażał się na śmierć, a kiedy mi rozkazywał bóg, jak ja sądziłem i byłem przekonany, że powinien życie poświęcić ukochaniu mądrości i badaniu siebie samego i drugich, gdybym miał ze strachu przed śmiercią, czy wszystko jedno przed czym, opuszczać szyk.

To by było straszne i wtedy by naprawdę mnie słusznie mógł ktoś do sądu ciągnąć za to, że w istnienie bogów nie wierzę i wyroczni nie słucham, i uważam się za mądrego, choć nie jestem. Bo obawiać się śmierci, obywatele, to nic innego nie jest jak tylko mieć się za mądrego, choć się nim nie jest. Bo to znaczy myśleć, że się wie to, czego człowiek nie wie. Bo przecież o śmierci żaden człowiek nie wie, czy czasem nie jest dla nas największym ze wszystkich dobrem, a tak się jej ludzie boją, jakby dobrze wiedzieli, że jest największym złem. A czyż to nie jest głupota, i to ta najpaskudniejsza: myśleć, że się wie to, czego człowiek nie wie? Ja się, obywatele, i na tym punkcie różnię od wielu innych ludzi i jeżelibym naprawdę powiedział, że jestem pod jakimś względem mądry, to właśnie pod tym, że nie mając dostatecznego pojęcia o tym, co w Hadesie, zdaję też sobie z tego sprawę, że nie wiem. A że krzywdy wyrządzać i nie słuchać lepszego od siebie - boga czy człowieka - jest czymś złym i hańbą, to wiem. Więc zamiast się chronić od takiego zła, o którym wiem, że jest złem, ja takich rzeczy, o których nie wiem, czy przypadkiem nie są właśnie dobre, ani się bać, ani przed nimi uciekać nie myślę.

Toteż nawet jeśli mnie teraz puścicie i nie dacie wiary Anytosowi, który mówił, że albowiem się tu w ogóle nie powinienem był znaleźć, albo skórom się już tu znalazł, niepodobna mnie na śmierć nie skazać, bo jeśli, powiada, ujdę kary, to już wasi synowie, postępując wedle nauk Sokratesa, zepsują się do reszty i ze szczętem - więc gdybyście mi na to powiedzieli:

Sokratesie, my teraz nie posłuchamy Anytosa, tylko cię uwolnimy, pod tym jednakże warunkiem, abyś się nigdy więcej takimi poszukiwaniami nie bawił ani nie filozofował dalej, a jeśli by cię znowu na tej robocie schwytano, to zginiesz - jeśli byście mnie, jak mówię, pod tymi a warunkami puścić mieli, tobym wam powiedział, że ja was, obywatele, kocham całym sercem, ale posłucham boga raczej aniżeli was i póki mi tchu starczy, póki sił, bezwarunkowo nie przestanę filozofować i was pobudzać, i pokazywać drogę każdemu, kogo tylko spotkam, mówiąc, jak to zwykle, że ty, mężu zacny, obywatelem będąc Aten, miasta tak wielkiego i tak sławnego z mądrości i siły, nie wstydzisz się dbać i troszczyć o pieniądze, abyś ich miał jak najwięcej, a o sławę, o cześć, o rozum i prawdę, i o duszę, żeby była jak najlepsza, ty nie dbasz i nie troszczysz się o to?

I jeżeli by mi ktoś z was zaprzeczał i mówił, że dba, ja go nie puszczę i nie dam mu odejść, ale go będę pytał i badał, i przekonywał, i jeśli dojdę do przekonania, że on nie ma dzielności naprawdę, a tylko tak mówi, to będę go poniewierał, że o najwyższe wartości najmniej dba, a

rzeczy lichsze wyżej stawia. I tak będę robił młodym i starym, i kogo tylko spotkam, i swoim, i obcym, a tym bardziej swoim, boście mi bliżsi krwią.

Tak rozkazuje bóg, dobrze sobie to pamiętajcie, a mnie się zdaje, że wy w ogóle nie macie w państwie nic cenniejszego niż ta moja służba boża. Bo przecież ja nic innego nie robię, tylko chodzę i namawiam młodych spośród was i starych, żeby się ani o ciało, ani o pieniądze nie troszczył jeden z drugim przede wszystkim, ani tak bardzo jak o duszę, aby była jak najlepsza: i mówię im, że nie z pieniędzy dzielność rośnie, ale z dzielności pieniądze i wszelkie inne dobra ludzkie i prywatne, i publiczne.

Więc jeśli tak mówię i tym młodzież psuję, to może być, że to są rzeczy szkodliwe; ale jeśli ktoś twierdzi, że ja cokolwiek innego mówię, a nie to właśnie - ten kłamie.

Wobec tego, Ateńczycy - czy wy posłuchacie Anytosa, czy nie, i czy mnie wypuścicie, czy nie wypuścicie, ja nie będę postępował inaczej; nawet gdybym miał nie jeden, ale sto razy umrzeć.

Nie podnoście wrzasków, Ateńczycy; wytrzymajcie, jakem was prosił, żeby nie krzyżeć na to, co powiem, ale słuchać. A myślę, że to wam się przyda, jeżeli posłuchacie. Ja wam jeszcze coś niecoś powiem takiego, na co pewnie będziecie krzyżeli, ale nie róbcie tego, nie!

Bądźcie przekonani, że jeśli skazecie na śmierć mnie, takiego człowieka, jak mówię, nie zaszkodzicie więcej mnie niż sobie samym.

Przecież mnie nie może w niczym zaszkodzić ani Meletos, ani Anytos. Nawet by nic potrafili! Bo mnie się zdaje, że gorszy człowiek „nie ma prawa” zaszkodzić lepszemu. Pewnie, może go zabić, skazać na wygnanie, pozbawić czci i praw. Tylko że te rzeczy on pewnie uważa, i ktoś inny może, za wielkie nieszczęścia, a ja zgoła nie uważam; znacznie większe nieszczęście robić to, co on teraz robi: niesprawiedliwie nastawać na życie człowieka.

Więc teraz, Ateńczycy, jestem daleki od tego, żebym miał przemawiać w obronie siebie samego, jakby się komuś zdawać mogło, ale raczej w obronie was, żebyście czasem nie obrazili boga za to, że was obdarował, jeżeli na mnie wyrok śmierci wydacie.

Bo jeśli mnie skazecie, to niełatwo znajdziecie drugiego takiego, który by tak, śmiech powiedzieć, jak bąk z ręki boga puszczoney siadał miastu na kark; ono niby koń wielki i rasowy, ale taki duży, że gnuśniej i potrzebuje jakiegoś żądła, żeby go budziło.

I zdaje mi się, że czymś takim dla miasta ja właśnie jestem, od boga mu przydany; ja, który was ciągle budzę i nakłaniam, i zawsze besztam każdego z osobna po całych dniach, to tu, to ówdzie przysiadając. Takiego drugiego niełatwo dostaniecie, obywatele; toteż jeżeli mnie posłuchacie, to nie zechcecie się mnie pozbywać.

Ale może być, że wy się gniewacie jak ten, któremu ktoś drzemkę przerywa; radzi byście mnie pacnąć i jak Anytos radzi, zabić mnie niewiele myśląc. Potem byście resztę życia mogli spać spokojnie, chyba że się bóg o was zatroszczy i kogoś innego wam znowu ześle.

Że ja jestem właśnie taki i że mnie bóg dał miastu, to może i stąd zmiarkujecie: przecież to nie jest zwyczajna ludzka rzecz, że ja o swoje sprawy zgoła nie dbam i spokojnie patrzę na mój dom w zaniedbaniu, i to już od tylu lat, a ciągle jestem waszym dobrem zajęty. Prywatnie do każdego przychodzę niby ojciec albo starszy brat, i każdego namawiam, żeby dbał o dzielność. Gdybym jeszcze za to coś dostawał, brał jakie honoraria za te roztrząsania dusz, to miałbym jakiś powód.

Ależ dzisiaj wy widzicie sami, że oskarżyciele, którzy mnie tak bezwstydnie o wszystko inne oskarżyli, do takiej się przecież nie potrafili posunąć bezczelności, żeby świadka postawić na to, jakobym ja od kogo kiedykolwiek albo wziął wynagrodzenie, albo go zażądał. Bo ja, zdaje się, wystarczającego stawiam świadka na to, że prawdę mówię: ubóstwo.

Ale może się to wyda nierozsądkiem, że ja tylko tak prywatnie ludziom doradzam i chodzę tu i tam, i tyle mam do roboty, a publicznie wystąpić nie mam odwagi: pójść na mównicę w tłum między was i rad udzielać państwu.

To pochodzi stąd, że jakieście to nieraz ode mnie słyszeli, mam jakieś bóstwo, jakiegoś ducha, o czym i Meletos na żart w swoim oskarżeniu pisze. To u mnie tak już od chłopięcych lat: głos jakiś się odzywa, a ilekroć się zjawia, zawsze mi coś odradza, cokolwiek bym przedsiębrał, a nie doradza mi nigdy. Otóż ono mi nie pozwala zajmować się polityką. A zdaje mi się, że to zakaz bardzo piękny. Bo wiercie mi, obywatele, gdybym się był kiedyś zajął polityką, dawno bym był zginął i na nic się nie przydał ani wam, ani sobie.

Nie gniewajcie się; ja mówię prawdę. Nie ma takiego człowieka, któremu by wasz lub jakikolwiek inny tłum przepuścił, jeżeli mu ktoś szlachetnie czoło stawia i nie pozwala na krzywdy i bezprawia w państwie; człowiek, który naprawdę walczy w obronie słuszności, a chce się choć czas jakiś ostać, musi koniecznie wieść żywot prywatny, a nie publiczny.

Wielkie wam świadectwa podam na to: nie słowa, ale to, co wy cenicie: czyny. Posłuchajcie, co mi się przytrafiło, abyście wiedzieli, że ja bym przed nikim nie ustąpił wbrew słuszności i ze strachu przed śmiercią: nie ustąpiłbym, choćbym i zginąć miał. Opowiem wam ciężkie i smutne historie, ale prawdziwe.

Bo ja, Ateńczycy, nigdy żadnego nie spełniałem urzędu w państwie, tylko raz należał do Wielkiej Rady. Właśnie wtedy prywania wypadła na naszą grupę, Antiochidę, kiedyście wy uchwalili sądzić sumarycznie dziesięciu wodzów za to, że trupów po bitwie morskiej nie pogrzebali.

Bezprawie, jakieście później wszyscy przyznali. Wtedy ja jeden spośród prywanów postawiłem się wam, że niczego nie będę robił wbrew prawu, i głosowałem przeciw uchwale, chociaż retory gotowe były mnie na miejscu denuncjować i kazać zaraz odprowadzić, a wyście tego żądali i wrzeszczeli; uważałem jednak, że powinienem raczej przy prawie i słuszności stać, bez względu na niebezpieczeństwo, aniżeli się was trzymać, kiedy bezprawia

uchwalacie, ze strachu przed więzieniem lub śmiercią.

Ale to było jeszcze za czasów demokracji w mieście. A kiedy przyszła oligarchia, to znowu tych Trzydziestu posłało po mnie, żebym razem z czterema innymi przyszedł do nich, do okrągłego domu, i kazali mi dostawić z Salaminy Leona Salamińczyka. Mieli go stracić. Oni przecież mnóstwo takich poleceń wydawali różnym ludziom, żeby mieć jak najwięcej współwinnych. Wtedy ja nie słowem, ale czynem dowiodłem, że mi na śmierci zależy, przepraszam, ale... ani tyle! a żeby niczego nieuczciwego ani bezbożnego nie zrobić, na tym mi tylko zależy i koniec.

Mnie też tamten rząd nie przstraszył, chociaż taki był silny, żebym miał aż coś nieuczciwego popełnić; toteż kiedyśmy z okrągłego domu wyszli, tamci czterej puścili się zaraz do Salaminy i dostawili Leona, a ja poszedłem prosto do domu. I pewnie bym był za to śmierć poniósł, gdyby się ów rząd w krótki czas potem nie był rozwiązał.

I na to znajdziecie wielu świadków.

Cóż wy myślicie, że ja bym był tyle lat bezpiecznie przeżył, gdybym się był pracą publiczną bawił, a bawił tak, jak dzielnemu człowiekowi przystało, pomagał ludziom uczciwym i jak być powinno, o to dbał nade wszystko? Ani mowy, obywatele! Ani nikt inny na moim miejscu.

Ja przez całe życie, czy to na publicznym stanowisku, jeżeli tam coś działał, czy w prywatnym życiu, jestem zawsze taki sam, ni gdym nikomu nie ustąpił wbrew słuszności ani z innych, ani żadnemu z tych, których oszczercy nazywają moimi uczniami.

Ja nie byłem nigdy niczym nauczycielem. Tylko jeśli ktoś ma ochotę słuchać, jak ja mówię i swoje robię, to czy to młody, czy stary, żadnemu tego nigdy nie bronilem; i ja nie rozmawiam za pieniądze, a bez pieniędzy nie, tylko zarówno bogatemu, jak i ubogiemu pozwalam, żeby mi pytania stawiał albo słuchał i odpowiadał, kiedy o czymś rozmawiam. A czy się ktoś przez to robi lepszym, czy nie, ja nie mam prawa za to odpowiadać, bom ani nie przyrzekał nikogo nauczyć czegokolwiek, anim też nie uczył. A jeśli ktoś mówi, że się kiedyś u mnie nauczył albo ode mnie słyszał prywatnie coś innego niż i wszyscy inni, bądźcie przekonani, że kłamie. Ale czemu niejeden ze mną przecież tak chętnie długi czas przestaje? Słyszeliście, obywatele. Ja wam całą prawdę powiedziałem. Bo się chętnie przysłuchują, jak się bada tych, co myślą, że są mądrzy, a nie są. To wcale przyjemna rzecz. A mnie to, jak powiadam, bóg nakazał robić i przez wróżby, i sny, i na wszelkie sposoby, jakimi zrządzenie boskie zwykło człowiekowi cokolwiek rozkazywać.

To jest, obywatele, i prawda, i dowieść tego łatwo.

Bo jeśli ja młodych ludzi psuję, a niektórych nawet już popsulem, tożby koniecznie - jedni z nich postarzeliby się przecież - poznali, że im kiedyś za młodu coś złego doradzałem, musieliby więc tu przyjść i skarżyć mnie za to; a gdyby sami nie chcieli, to zawsze ktoś z bliskich, jakiś



ojciec czy brat, czy inny krewny takiego, pamiętałby mi to, gdyby jego najbliższy był czego złego doznał ode mnie, i dzisiaj by się mścił. A tymczasem wielu z nich jest tu koło mnie. Widzę ich; naprzód ten oto: Kriton, mój rówieśnik i sąsiad, ojciec tego tu Kritobulosa; potem Lizaniasz ze Sfetos, ojciec, o, tego, Ajschinesa; dalej Antyfon z Kefizji, o ten, ojciec Epigenesa. A ci inni to bracia tych, co ze mną przestawali: Nikostratos, syn Teozotida, brat Teodota, a Teodot sam umarł, więc on tu swego brata nie zaprosił, i Paralos, ten syn Demodoka, jego bratem był Teages; a ten tu to Adejmantos, syn Aristona; a to jego brat, Platon; tam Ajantodoros, tu brat jego Apollodoros. A jeszcze wielu innych mogę wam wymienić. Meletos powinien był w swojej mowie przede wszystkim kogoś z nich podać na świadka; jeżeli wtedy zapomniał, niech go poda teraz; ja poczekam; niech mówi, jeśli ma co.

Tymczasem znajdziecie coś wręcz przeciwnego, obywatele; oni wszyscy gotowi poprzeć mnie, którym tyle złego zrobił ich najbliższym, jak powiada Meletos i Anytos. Jeszcze ci zepsuci mieliby powód, żeby mnie popierać; ale ci nie zepsuci, starsi, ci krewni - cóż tych skłania do tego, żeby mnie popierać, jak nie słusność i sprawiedliwość? To przekonanie, że Meletos kłamie, a ja mówię prawdę?

Otóż tyle by było, obywatele!

Co ja bym miał do powiedzenia na swoją obronę, to mniej więcej to właśnie i inne rzeczy tym podobne.

Ale może być, że się ktoś z was zżyma, przypomniawszy sobie siebie samego; on może i w mniej poważnym procesie stawał, a prosił i błagał sędziów, i łzami się zalewał, a dzieci swoje tu przyprowadził, żeby jak największą litość wywołać, a jeszcze krewnych przywłókł i przyjaciół; ja, oczywiście, nie będę robił niczego podobnego, choć się narażam, mógłbym sądzić, na największe niebezpieczeństwo.

Więc może niejeden, widząc to, zatnie się na mnie, zgniewa go to i gotów w gniewie głos oddać.

Jeśli tu jest ktoś taki - ja nie przypuszczam, ale jeżeli - to mógłbym mu, zdaje się, coś na to powiedzieć. Powiedziałbym, że mam ci może i ja, ojciec dobry, także jakichś krewnych. Toż już i jak Homer powiada: anim z drzewa nie wyrósł, anim ze skały wyskoczył, tylko z ludzi; toteż i dom jakiś mam, i synów, obywatele, trzech; jeden już pod wąsem, a dwaj to chłopaki, a mimo to żadnego tu nie przyprowadził i nie będę was prosił o uwolnienie. A czemu nic podobnego nie zrobię? To nie pycha, obywatele, ani lekceważenie was, i czy ja mam odwagę na śmierć, czy nie, to nie o to chodzi - chodzi o to, czy to wypada i mnie, i wam, i całemu miastu - mnie się zdaje, że to nieładnie, żebym ja takie rzeczy robił, w tym wieku i z tym imieniem, wszystko jedno, czy słusznym, czy fałszywym.

Bo to niby jest pewne, że Sokrates czymś się wyróżnia od wielu innych ludzi.

Przecież jeżeliby się ktokolwiek z was w powszechnej opinii wyróżniał mądrością czy od-

wagę, czy jakąkolwiek inną dzielnością, a tak by się zachowywał, to byłby wielki wstyd. A ja już niejednego takiego i nieraz widziałem, który za coś pomiędzy ludźmi uchodził, a w sądzie wyprawiał nie wiadomo co. Jakby myślał, że strach, co mu się stanie, jeśli umrze; jakby miał nieśmiertelnym zostać, gdybyście go nie skazali. Mnie się zdaje, że tacy tylko wstyd miastu przynoszą; potem jeszcze gdzieś ktoś z obcych gotów myśleć, że najdzielniejsi ludzie w Atenach, których obywatele sami wyróżniają godnościami i zaszczytami, niczym się nie różnią od kobiet.

Ateńczycy, czegoś podobnego ani my nie powinniśmy robić, którzy za coś tam uchodzimy, ani wyście na to pozwalać nie powinni; raczej pokazać, że o wiele prędzej skażecie takiego, co te rozczulające dramaty wyprawia i miasto ośmiesza, niż takiego, który się spokojnie zachowuje.

A nie mówiąc o tym, czy wypada; to nawet mi się to, obywatele, nie wydaje uczciwym: prosić sędziego i uwalniać się prośbami od odpowiedzialności, zamiast pouczać i przekonywać. Przecież nie na to tutaj siedzi sędzia, żeby w podarunku rozdawał z łaski sprawiedliwość, tylko żeby sądził. Przecież przysięgał nie na to, że będzie folgował temu, który mu się podoba, ale że będzie sądził według praw.

Nieprawdaż? Zatem ani myśmy was nie powinni przyzwyczajając do krzywoprzysięstwa, ani wyście się sami nie powinni do tego przyzwyczajając. Nie godzi się to przed bogiem ani nam, ani wam.

Nie sądzcie tedy, obywatele, że ja powinienem się wobec was zachowywać w sposób, który mi się ani pięknym nie wydaje, ani sprawiedliwym, ani zbożnym; tym bardziej że mnie, dalibóg, o bezbożność ten tu Meletos oskarża.

Oczywiście, gdybym na was wpływał i prośbami gwałt zadawał waszej przysiędze, wtedy bym was uczył niewiary w bogów i po prostu, broniąc się, oskarżałbym siebie samego, że bogów nie uznaję. Ale daleko do tego. Ja ich uznaję, obywatele, jak żaden z moich oskarżycieli, i pozostawiam bogu i wam sąd o mnie; niech wypadnie tak, jak będzie najlepiej dla mnie i dla was.

Jeżeli się nie oburzam, obywatele, na to, co się stało, żeście mnie skazali, na to się składa bardzo wiele, a między innymi i to, że mnie nie zaskoczył niespodziewanie ten fakt. Ja się raczej dziwię, że taka wypadła liczba głosów po obu stronach.

Nie spodziewałem się tak małej większości - myślałem o wielkiej. A tu, jak widzę, gdyby tylko trzydzieści skorupek było padło w drugą stronę, byłbym został uwolniony. Przeciw Meletosowi, to uważam, że i tak wygrałem, i nie tylko wygrał, ale to każdy zrozumie, że gdyby się był do jego skargi nie przyłączył Anytos i Likon, byłby musiał zapłacić tysiąc drachm, bo nie dostał piątej części głosów.

Więc ten obywatel proponuje dla mnie śmierć. No dobrze. A ja - jakąż ja mam podać ze swej strony propozycję?

No oczywiście, że należyta. Więc cóż? Jakaż mi się należy kara osobista czy grzywna, zem, lichy wie czemu, całe życie nie siedział cicho i nie dbał o to, o co się troszczy wielu: o pieniądze, o dom, o strategię, mowy na zgromadzeniach, urzędy, sprzysiężenia, obywatelskie spiski, bom się naprawdę za zbyt porządnego człowieka uważał na to, żeby tam pójść, a ostać się, i nie szedłem tam, gdzie bym się ani wam, ani sobie na nic nie był przydał, tylko jak zwykły człowiek do każdego z osobna chodził świadczyć mu największe dobrodziejstwo, ja przynajmniej tak uważam; tak szedłem i próbowałem każdego z was namawiać, żeby ani o żadną ze spraw swoich nie dbał prędzej, zanim dbać zacznie o siebie samego, by się stał jak najlepszym i najmądrzejszym, ani się o sprawy państwa troszczył, zanim o państwie samym nie pomyśli, i żeby się o wszystko inne podobnym porządkiem starał. Więc co mi się należy za to? Takiemu człowiekowi? Coś dobrego, obywatele, jeżeli wniosek ma być naprawdę należyty. I to coś dobrego w tym rodzaju, żeby to odpowiadało mojej osobie.

A cóż odpowiada człowiekowi ubogiemu, zasłużonemu, który musi mieć wolną głowę, żeby was mógł nawracać? Nie ma nic odpowiedniejszego, Ateńczycy, jak to, żeby takiemu obywatelowi dawać honorowy wikt w Prytanejon: o wiele więcej, niż jeśli który z was na koniu, parą albo czterema końmi odniesie zwycięstwo w Olimpii. Bo dzięki niemu zdaje się wam, że jesteście szczęśliwi, a dzięki mnie - jesteście. I taki nie potrzebuje utrzymania, a ja potrzebuję. Jeżeli więc mam po sprawiedliwości proponować karę należyta, to proponuję: honorowy wikt w Prytanejon.

Może się wam zdaje, że i teraz mówię podobnie jak przedtem o owych jękach i błaganiach, bom się zaciął w zarozumiałości. To nie to, obywatele, raczej coś innego; ja jestem przekonany, że dobrowolnie nikogo na świecie nie skrzywdziłem, ale was o tym nie przekonam; bo myśmy za krótko ze sobą rozmawiali. Mimo to ja myślę, że gdyby u was istniało prawo jak u innych ludów, żeby w sprawach gardłowych nie jeden tylko dzień sądzić, ale kilka, to prawdopodobnie dalibyście się przekonać. Tak, teraz niełatwo w czasie tak krótkim takie wielkie oszczerstwo z siebie zmyć.

Otóż mając głębokie przekonanie, że nie krzywdzę nikogo, daleki też jestem od tego, żebym miał siebie samego krzywdzić i o sobie samym powiedzieć, zem na coś złego zasłużył i miałbym coś podobnego dla siebie proponować... czemu właściwie? Ze strachu? A przed czym? Żebym nie poniósł tego, co dla mnie Meletos proponuje? Ależ ja mówię, że nie wiem, ani czy to jest coś dobrego, ani czy to coś złego. Mam więc zamiast tego wybierać rzeczy, o których dobrze wiem, że są złe, i co zaproponować? Więzienie? Alboż mi się chce żyć w więzieniu i jak niewolnik zależeć od ustawicznie zmieniającej się władzy, od tych jedenastu? Może grzywnę i więzienie, zanim kary nie spłacę? Ależ to to samo, co dopiero mówiłem. Ja

nie mam pieniędzy, nie mam skąd płacić.

Więc może proponować wygnanie? Wy byście mi to może uchwalili. Ale ja bym musiał być strasznie do życia przywiązany, gdybym miał być aż tak głupim i nie mógł wymiarkować, że wy przecież, moi współobywatele, nie mogliście wytrzymać mojego sposobu życia i myślenia, ale wam to zaczęło zanadto już ciążyć i budzić zawiść, tak że chcecie się tego wszystkiego pozbyć. A obcy, niby, zniosą to tym łatwiej? Ani mowy, obywatele! I ładne bym ja miał życie; tak pójść na wygnanie, człowiekowi w tym wieku, włączyć się z miasta do miasta, czekać, aż go znowu skądś wyrzucą. Jestem przekonany, że dokądkolwiek bym przyszedł, młodzież będzie słuchała moich rozmów tak samo jak tutaj. Gdybym ich pędził od siebie, oni się sami postarają o wygnanie mnie z miasta, namówią starszych, a jeśli ich nie będę pędził, to mnie wygnają ich ojcowie i bliscy, ze względu na nich samych.

Więc pewnie ktoś powie: „A nic nie gadać i cicho siedzieć ty nie potrafisz, Sokratesie, jak sobie od nas pójdiesz na wygnanie?” Otóż to właśnie. O tym najtrudniej przekonać niejednego z was. Bo jeżeli powiem, że to jest nieposłuszeństwo względem boga i ja dlatego nie mogę siedzieć cicho, to mi nie uwierzycie; powiecie, że to drwiny. A jeżeli powiem, że to właśnie jest też i największe dobro dla człowieka: każdego dnia tak rozprawiać o dzielności i

o innych rzeczach, o których słyszycie, że i ja sam rozmawiam, i własne, i cudze zdania roztrząsam, a bezmyślnym życiem żyć człowiekowi nie warto, jeśli to powiem, to tym mniej mi będziecie wierzyli. Ale to tak jest, jak mówię, obywatele; tylko przekonać kogoś o tym nie jest łatwo.

Poza tym nie zwykłem się uważać za człowieka, któremu by się coś złego należało.

Więc gdybym miał pieniądze, byłbym był proponował grzywnę, którą by mi wypadło zapłacić. To by mi zupełnie nie szkodziło. Tymczasem tak - no, nie mam, chyba tyle, ile bym potrafił zapłacić, na tyle może zechcecie mnie skazać? Ja bym może mógł zapłacić wam... minę srebrem. Więc tyle proponuję.

Tymczasem ten tutaj Platon, obywatele, Kriton, Kritobulos i Apollodoros proszą mnie, żebym proponował trzydzieści min; mówią, że sami ręką za spłatę. Więc proponuję tyle. Porękę za srebro będziecie mieli pewną.

Dla tych paru, a bardzo już niewielu lat będziecie, obywatele, osławieni i kto tylko zechce, będzie mógł miasto hańbić, żeście zabili Sokratesa, mędrca. Bo będą o mnie mówili, że jestem mędrcom, jakkolwiek nim nie jestem, ci, którzy zechcą wam uwłaczać. Gdybyście byli poczekali niedługo, czas jakiś, byłoby wam to i tak samo z siebie przyszło. Widzicie przecież mój wiek, że to już życia dużo poza mną, a śmierć blisko. Nie mówię tego do was wszystkich, ale do tych, którzy wetowali dla mnie śmierć. A jeszcze i to powiem, także tylko do nich: wy może myślicie, obywatele, że ja przegrywam dlatego, bo za mało mam argumentów takich, którymi bym was potrafił przekonać, gdybym sądził, że trzeba wszystko możliwe robić i mówić, byle wyroku uniknąć. Ani mowy. Przegrywam, bo za mało mam nie argumentów, tylko bezwstydu i bezczelności, i zbyt mało mi się chce mówić wam takich rzeczy, których wy byście słuchali najchętniej: gdybym tu płakał i jęczał i gdybym nie wiadomo co wyprawiał, i mówił rzeczy poniżej mojej godności, jak ja uważam, takie, jakieście zwykli słyszeć od innych. Tymczasem ja ani przedtem nie uważałem za stosowne robić niczego podłego z uwagi na niebezpieczeństwo, ani mi teraz żal, że się w ten sposób bronił; wolę zginąć po takiej obronie niż tamtym sposobem żyć. Bo ani w sądzie, ani w wojnie, ani ja, ani ktokolwiek inny nie powinien o tym przemyślać, żeby śmierci ująć, wszystko jedno jak. Przecież i w bitwach często najwidoczniej można śmierci uniknąć, jeżeli ktoś porzuci broję albo się z prośbami zwróci do ścigających. W każdym niebezpieczeństwie jest wiele różnych sposobów na to, żeby się śmierci wymigać, jeżeli ktoś ma odwagę wszystko jedno co robić i mówić. Więc nie to jest rzecz trudna, obywatele: uniknąć śmierci; znacznie trudniej - zbrodni. Bo zbrodnia biegnie prędzej niż śmierć. Tak też i teraz; ja tam powoli chodzę, zwyczajnie jak to starzec, toteż mnie to powolniejsze zgoniło; a moi oskarżyciele to figury nie lada i ostre, więc ich to,

co szybsze: zbrodnia. I teraz ja odchodzę, w oczach waszych winien kary śmierci; oni w oczach prawdy winni zbrodni i krzywdy. I ja się doczekam kary, i oni. A to może właśnie i tak się było powinno stać; a też myślę, że to właśnie w sam raz tak, jak jest.

A teraz pragnąłbym wam coś przepowiedzieć, wy, którzyście mnie skazali. Jestem przecież u tego kresu, przy którym ludzie najczęściej wieszczyc zwykli: kiedy mają mrzeć.

Przepowiadam wam więc, obywatele, którzyście mnie zabili, że przyjdzie na was kara zaraz po mojej śmierci, znacznie cięższa, na Zeusa, niż ta, którą mnie zabijacie. Bo wyście to dziś popełnili myśląc, że się pozbędziecie ciągłego rachunku sumienia w życiu; tymczasem wypadnie wam coś całkiem przeciwnego. Powiadam wam. Więcej się znajdzie takich, którzy was oskarżać będą; ci, których ja teraz byłem natchnieniem, a wyście tego nie widzieli. Będą tym przykrzejsi, im są młodszy: toteż was będą znacznie więcej oburzali.

Jeżeli sądzicie, że zabijając ludzi powstrzymacie kogoś od tego, żeby was nie ganił i nie łązał, że nie żyjecie jak się należy, to nie widzicie rzeczy jak należy. Bo pozbywać się tego w taki sposób, jak wy, to ani podobna, ani to pięknie; najłatwiej i najpiękniej nie gnębić drugich, ale samemu nad sobą pracować, żeby być możliwie jak najlepszym. Tyle słów wieszczby na pożegnanie z tymi, którzy mnie skazali.

Z tymi zaś, którzy głosowali za mną, chętnie bym porozmawiał o tym, co się tu stało, podczas gdy władza jeszcze zajęta i nie odchodzę tam, dokąd poszedłszy umrzeć mi potrzeba. Więc poczekajcie ze mną tę chwilę. Możemy sobie jeszcze trochę pogadać, póki wolno. Bo ja wam chcę, jak przyjaciółom, wytłumaczyć tę dzisiejszą moją przygodę, co ona znaczy. Bo mnie się, sędziowie - przecież was, jeżeli sędziami nazywam, to nie nadużywam wyrazu -mnie się przydarzyła rzecz dziwna.

Ten mój zwyczajny, wieszycy głos (głos ducha) zawsze przedtem, i to bardzo często, się u mnie odzywał, a sprzeciwiał mi się w drobnostkach nawet, ilekroć miałem coś zrobić nie jak należy. No, a teraz mi się przydarzyło, widzicie przecież sami, to tutaj, co niejednen uważa może, i naprawdę uważa za ostateczne nieszczęście. A tymczasem mnie, ani kiedym rano z domu wychodził, nie sprzeciwiał się ten znak boga, ani kiedym tu na górę szedł do sądu, ani podczas mowy nigdzie, kiedym cokolwiek miał powiedzieć. A przecież w innych mowach to nieraz mi, bywało, przerwie w środku słowa. Tymczasem teraz nigdzie w tej całej historii ani w postępowaniu moim, ani w mowie nic mi oporu nie stawia. A cóż to, myślę, będzie za przyczyna? Ja wam powiem: zdaje się, że ta przygoda jest właśnie czymś dobrym dla mnie; niepodobna, żebyśmy słuszność mieli my, którzy przypuszczamy, że śmierć jest czymś złym. am na to wielkie świadectwo. Bo nie może być, żeby mi się nie sprzeciwiał mój zwyczajny znak, gdybym nie był miał zrobić czegoś dobrego.

A zastanówmy się i nad tym, jak wielka jest nadzieja, że to coś dobrego. Otóż jednym z dwóch jest śmierć. Bo albo tam niejako nic nie ma i człowiek po śmierci nawet wrażeń żadnych nie odbiera od niczego, albo jest to, jak mówią, przeobrażenie jakieś i przewodniczka duszy stąd na inne miejsce. Jeśli to brak wrażeń, jeśli to coś jak sen, kiedy ktoś śpiąc - nawet widziadeł sennych nie ogląda żadnych, toż przedziwnym zyskiem byłaby śmierć. Bo zdaje mi się, że gdyby ktoś miał wybrać w myśli taką noc, w której tak twardo zasnął, że nawet mu się nic nie śniło, i inne noce, i dni własnego życia miał z nią zestawić i zastanowiwszy się powiedzieć, ile też dni i nocy przeżył lepiej i przyjemniej od tamtej, to myślę, że nie jakiś prywatny człowiek, ale nawet Wielki Król znalazłby, że na palcach policzyć by je można w porównaniu do tamtych innych dni i nocy.

Więc jeżeli śmierć jest czymś w tym rodzaju, to ja ją mam za czysty zysk. Toż wtedy cały czas nie wydaje się ani odrobinę dłuższy niż jedna noc.

Jeżeli zaś śmierć to niby przesiedlenie się duszy stąd na inne miejsce i jeżeli to prawda, co mówią, że tam są wszyscy umarli, to jakież może być większe dobro ponad nią sędziowie! Przecież jeżeli ktoś do Hadesu przybędzie, pożegnawszy się na zawsze z tymi rzekomymi sędziami, i znajdzie tam sędziów prawdziwych, jak to i mówią, że tam sądy odprawia Minos i Radamantys, i Ajakos, i Triptolemos, i innych półbogów, którzy za życia swego byli sprawiedliwi - to czyż to nie miła przewodniczka? Albo tak spotkać Orfeusza i Muzajosa, i Hezjoda, i Homera, ileż by nie jeden z was dał za to? Toż ja chcę częściej umierać, jeżeli to wszystko prawda.

Przecież i ja przedziwne miałbym tam rozmowy, ilekroć bym spotkał Palamedesa i Ajasa, syna Telamona, i jeśli ktoś inny ze starożytnych padł z niesprawiedliwego wyroku, to porównywać swoje losy i ich cierpienia byłoby, myślę, wcale przyjemnie. A największa przyjemność byłaby ich tam badać i dochodzić ustawicznie tak jak tych tutaj, który też z nich jest naprawdę mądry, a który się tylko za mądrego uważa, a nie jest nim naprawdę. Ileż by człowiek dał za to, sędziowie, żeby tak wybadać takiego Odyseusza, który wielkie wojsko pod Troję przyprowadził, albo Syzyfa, albo innych bez liku wymieni ktoś mężczyzn i kobiet, z którymi tam rozmawiać i obcować, i wypytywać ich nieopisanym byłoby szczęściem?

Przynajmniej za takie rzeczy tam na śmierć nie skazują. To pewne. Więc oni tam są w ogóle szczęśliwsi od nas tutaj, a oprócz tego są jeszcze nieśmiertelni, jeżeli prawdą jest to, co ludzie mówią.

Więc i wy, sędziowie, powinniście z pogodą i nadzieją myśleć o śmierci, a tylko tę jedną prawdę mieć na oku, że do człowieka dobrego nie ma przystępu żadne zło ani za życia, ani po śmierci, a bogowie nie spuszczaają z oka jego sprawy.

I moja sprawa także nie poszła sama takim torem; dla mnie to rzecz jasna, że umrzeć już i pożegnać się z kłopotami życia lepiej dla mnie. Dlatego też mnie nigdzie znak mój nie kierował w inną stronę i ja się na tych, którzy mnie skazali, i na oskarżycieli moich nie bardzo gniewam. Jakkolwiek oni nie w tej myśli głosowali przeciwko mnie i skarżyli, tylko myśleli, że mi zaszkodzą. To im też należy zganić. O jedno tylko ich proszę: synów moich, kiedy dorosną, karzcie, obywatele, dręcząc ich tak samo, jak ja was dręczyłem, jeśli zobaczycie, że o pieniądze czy o cokolwiek innego więcej dbają niż o dzielność, i jeśliby mieli pozory jakiejś wartości, nie będąc niczym naprawdę, poniewierajcie ich tak samo jak ja was, że nie dbają o to, co trzeba, i myślą, że czymś są, chociaż nic nie są wari. Jeżeli to zrobicie, spotka mnie sprawiedliwość z waszej strony; i mnie, i moich synów.

Ale oto już i czas odejść; mnie na śmierć, wam do życia. Kto z nas idzie do tego, co lepsze, tego nie wie jasno nikt - chyba tylko bóg.